

Barbara Niechcic w Krainie Metaksy

Po obejrzeniu spektaklu Michała Siegoczyńskiego *Noce i dnie* w toruńskim Teatrze im. Wilama Horzycy pomyślałem, że zrobienie w kinie czy w teatrze porządnej adaptacji powieści Marii Dąbrowskiej może być w tej chwili bardzo trudne, albo wręcz niemożliwe. A to dlatego, że na drodze takiego dość prozaicznego pomysłu znajdują się dwie poważne przeszkody: ikoniczny film Jerzego Antczaka oraz to, co za jego sprawą stało się z opowieścią o losach Barbary i Bogumiła Niechciców w planie szerszym, niejako metafizycznym. Siegoczyńskiemu się udało, gdyż zauważył w porę owo niebezpieczeństwo i niezwykle umiejętnie je zneutralizował, o czym za chwilę. Na początek spróbuję jednak wytłumaczyć, na czym ono konkretnie polega.

Olga Tokarczuk w jednym z esejów zawartych w tomie *Czuły narrator* konstruuje przestrzeń *Krainy Metaksy*, opierając ją na greckim pojęciu, zaczerpniętym z *Uczty* Platona. Słowo *metaksy* (μεταξύ) było używane przez starożytnych Greków w znaczeniu przymyka *pomiędzy*, znaczyło ono jednak nie pustą przestrzeń, ale sferę, łączącą ze sobą rzeczywistości przeciwieństw, rodzaj osobliwego *po środku*. Wywód noblistki jest oczywiście długi, fascynujący i gorąco go Państwu polecam, dla naszych jednak rozważań wystarczy te kilka słów, opisujących czym jest owa kraina: *Istniejąca poza czasem i przestrzenią Kraina Metaksy mieści w sobie wytwory naszego umysłu, które nigdy nie dostąpiły statusu realności zwyczajnej. Lecz z pewnością mają status realności nadzwyczajnej. Tutaj Czerwony Kapturek podejrzliwie zadaje wilkowi udającemu Babcię swoje trzy pytania, a Jazon żegluguje do Kolchidy po złote runo. Tu rezydują także historyczne postaci, które dawno już zmarły, a ich fizyczne ciała rozsypały się w proch. Są tu bez wątpienia i Platon, i Sokrates, i nawet Diotyma, chociaż nie mamy do końca pewności, czy istniała. Są tu i święci, i lubieżni papieże, paskudni tyrani i Dziewczynki z Zapawkami marznące w śniegu, są bohaterowie sag i słynne aktorki filmowe. Wszyscy, których realność bierze się z prostego faktu, że zaprzętają nam uwagę, że myślimy o nich, odnosimy do siebie, że wpuszczamy te postaci na pokoje naszego wewnętrznego życia.*

Można by więc powiedzieć, że każdy z nas ma swoją własną Krainę Metaksy, ale warto zauważyć, że społeczność, którą tworzymy – czy to lokalna, czy narodowa – ma ją również. W tym ostatnim przypadku można by chyba napisać z dużą dozą uogólnienia, że owo *metaksy* to po prostu kultura danego narodu, ale postępująca globalizacja znacznie tę sferę rozszerza. Kraina Metaksy jest na tyle pojemna, że zawiera w sobie nie tylko postaci, wydarzenia czy symbole, ale też procesy, stąd w jej obrębie na pewno znajdzie się miejsce na mitotwórstwo, będące w gruncie rzeczy procesem na różnych poziomach wiecznym i nieskończonym. I tu właśnie docieramy do sedna *Nocy i dni* Dąbrowskiej, które w świadomości, a raczej podświadomości jednostek, a także naszego narodu przeszły drogę od dzieła literackiego przez kongenialną adaptację filmową do arcypolskiego mitu, w którym wciąż odnajdują się kolejne pokolenia Polaków. Do *Krainy Polskiego Metaksy* trafiła zaś nie tylko Barbara i Bogumił Niechcicowie ze swoją historią, ale i postać Barbary z całą powierzchownością i performowaniem rzeczywistości grającej ją Jadwigi Barańskiej, jej twarz, twarz Jerzego Bińczyckiego i szereg różnych elementów, będących ikonicznymi fragmentami, ilustrującymi nam jednocześnie sceny z powieści i nasze życie.

Przykładem słynna scena, w której młody i piękny Józef Tolibowski rzuca się do stawu, żeby narwać nenufarów młodej Barbarze, wówczas pannie na wydaniu. Bez względu na to, jak był ubrany w powieści, do końca życia będziemy pamiętać Tolibowskiego z twarzą kreującego go w filmie Karola Strasburgera, ubranego w biały garnitur. Nie zapomnimy też szczęścia na twarzy Barbary/Barańskiej, gdy młody aktor z poświęceniem rzuci się do stawu,

powodując wzburzenie nie tylko młodej dziewczyny, ale i całego towarzystwa. Cała ta scena, ale i jej migawki (jak na przykład obraz Tolibowskiego w mokrym garniturze z naręczem nenufarów) znajduje się właśnie w *Krainie Metaksy*, zarówno tej szerokiej, polskiej, jak i tej, która funkcjonuje w pojedynczych ludzkich umysłach. Dlatego każdy, kto się styka z tą sceną, wydobywa sobie z owej własnej krainy mit mężczyzny, gotowego dla ukochanej kobiety na każde poświęcenie, i wszystko, co mu się z owym mitem łączy. Dla jednych to będzie wspomnienie własnej wersji Tolibowskiego, jako szczęścia, które przeszło im kiedyś koło nosa, dla innych będzie to gorycz, że mimo wszelkich starań nigdy się im w takiego Tolibowskiego nie udało zmienić. Zasady są tu proste: natura mitu jest taka, że każdy może się w nim – niczym w zwierciadle – przejrzeć i zobaczyć wzór, w którym odnajdzie nie tylko swoje obecne życie, ale w ogóle cały los, który jest mu gdzieś w gwiazdach zapisany.

Podobnie jest z teatrem, który pochłania nie tylko książki, autorów, postaci i sceny z danego utworu, ale i osoby aktorów, które występują na scenie. Weźmy Danutę Stenkę na przykład. Ta znakomita aktorka, jako osoba prywatna, żyje sobie gdzieś w Warszawie, poruszając się w kręgu swojej rodziny i znajomych. My, jej publiczność, nic tak naprawdę o niej nie wiemy, znamy za to personę Danutę Stenkę, osobę publiczną, która była tu i ówdzie na okładce, zagrała w tym spektaklu i w tamtym filmie, mówiła to czy tamto w wywiadzie. Z tych różnych zdarzeń i wypowiedzi tworzymy sobie Danutę Stenkę, która natychmiast trafia do naszej *Krainy Metaksy*, i posługujemy się nią w zależności od potrzeb. Stąd w owej polskiej krainie egzystuje nie tylko Barbara Niechcic, nie tylko Barbara Niechcic z twarzą Jadwigi Barańskiej, ale i sama Jadwiga Barańska, a od dnia premiery przyklejona dodatkowo do *Nocy i dni* oraz *Barbary* – zwłaszcza w Toruniu – aktorka Julia Szczepańska.

Sukces spektaklu Siegoczyńskiego – bo jest to duży sukces – polega właśnie na tym, że ten piekielnie zdolny i dynamiczny artysta nie tylko całą tę złożoną strukturę w naszych – swojej wszak publiczności – głowach zauważył, ale wręcz postanowił oprzeć na niej szkielet swojej adaptacji. Toruński spektakl w warstwie scenariusza to więc nie tylko kolaż wątków i scen powieści, lecz przede wszystkim wielopłaszczyznowa mozaika, ułożona z różnych elementów: postaci i scen powieści, wydarzeń z życia samej autorki, postaci i scen z filmu Antczaka, wreszcie dyskretnie utkanych przy pomocy teatru znaków, odnoszących wszystkie te elementy do współczesności. Żeby było jeszcze trudniej, Siegoczyński żongluje akcją, miejscami i czasem. I choć wprowadza to początkowo poczucie chaosu, po kilkudziesięciu minutach przychodzi odkrycie, że ten szaleńczy kosmos jest w gruncie rzeczy niezwykle precyzyjnie wymyślony i poukładany. Okazuje się bowiem, że cała ta opowieść zbudowana jest na historiach wybranych bohaterów, które do wspólnego mianownika sprowadza jeden temat – miłość. Bo o miłości właśnie – jej potędze i słabości, jej wersji szczęśliwej i nieszczęśliwej, powodzeniu, jakie ze sobą niesie, i tragediach, które może powodować – jest to spektakl, i to jeden z najpiękniejszych, jakie widziałem. A jeśli o miłości, to również o człowieku. O tym, co mu przyrodzone i od czego nie może on uciec.

Siegoczyński w całej tej strukturze wydaje się bezbłędny jeszcze na jednym poziomie – w kwestii tonu. Prowadzi wątki głównie w tonacji buffo, żeby co jakiś czas puentować je scenami serio. Owo buffo to efekt kabaretowej, slapstickowej wręcz konwencji, która jest znakiem rozpoznawczym w teatrze tego reżysera. Eksploatuje on teatr prosty i szybki, z aktorami/postaciami, którzy na wejście mają dystans do siebie i tego, co przyszło im na scenie kreować. Odgrywają więc oni ironiczną, choć inteligentną esencję jakiejś sceny, trwającą nie dłużej niż kilka minut, i schodzą – na scenie pojawiają się bowiem następni aktorzy i następne postaci. To atrakcyjna forma teatru, ale dość płytka. Oczywiście, gdy się robi teatr o profilu przede wszystkim rozrywkowym, to wystarczy. Widz opuszcza widownię z jasnymi komunikatami, jest rozbawiony, nakarmiony rozrywką na dość wysokim poziomie, a

dodatkowo otwarty na podskórne, poważne komunikaty twórców, niepostrzeżenie "wstrzykiwane" mu w podświadomość. Gdyby toruńskie *Noce i dnie* zrobione były tylko według tej recepty byłoby dobrze, jest jednak znakomicie, a to za sprawą scen potraktowanych przez twórców absolutnie serio.

Może pamiętają Państwo znakomity musical Baza Luhrmanna *Moulin Rouge* z pamiętną rolą Nicole Kidman, grającą findesieclową paryską artystkę, zakochującą się u kresu swojego młodego życia (suchoty) w młodym pisarzu. Otóż Baz Luhrmann snuł swoją campową, odrealnioną, imponującą bizantyjskim rozmachem opowieść tak, że nie sposób było potraktować jej poważnie, gdy zaś przychodziło do wątku miłości, miejsce cukierkowej ferii kolorów, dźwięków czy kalejdoskopowego, dynamicznego montażu zajmowały zbliżenia twarzy Kidman, McGregora czy innych aktorów. W obrazie pojawiały się tony szarości, gra światłem i ciemnością, osobliwa oszczędność środków powodująca, że widz po chwili obcowania z tymi scenami zostawał absolutnie wciągnięty w dramat zbyt późnej miłości dwojga młodych wspaniałych ludzi; kibicował im, trzymał z nich kciuki, współczuł, żeby wreszcie płakać jak bóbr, gdy Satine przegrywała w finale nierówną walkę zarówno z okrutnym światem Paryża, jak i przede wszystkim ze śmiercią. Podobne wrażenie odniosłem na widowni Teatru im. Horzycy: świetnie przygotowana i dobrze naoliwiona machina teatru, jawnie fałszywa, zatrzymywała się co rusz, żeby zbliżyć swoje nieubłagane oko do wnętrza duszy poszczególnych bohaterów. Wtedy nagle ich wyśmiewane dotąd życia stawały się poważne i prawdziwe, ich dramaty zaś chwytały za serce, autentycznie wzruszając. Może dlatego, że pozwalały na chwilę zajrzeć pod podszewkę życia, sprawiając, że wszyscy gdzieś w głębi serca czuliśmy nie tyle empatię wobec postaci, ale wprost pełną z nimi identyfikację. Dla przykładu mogę tu wspomnieć przepiękną scenę rozmowy Barbary (Julia Szczepańska) z młodszym bratem Danielem Ostrzeńskim (Arkadiusz Walesiak), w której oboje przyznają, że są nieszczęśliwi: ona, bo kochała Bogumiła za mało, on zaś, bo miłował swoją Michasię za bardzo. Kilkadziesiąt sekund, gdy otwiera się w spektaklu Siegoczyńskiego esencja ludzkiego losu, zapisana nie tylko w jego teatrze, filmie Antczaka czy powieści Dąbrowskiej, ale też w owej *Krainie Metaksy* Olgi Tokarczuk, która czyni z nas wszystkich jedną wielką, ludzką wspólnotę. Najgłębszą, bo opartą na ludzkim doświadczeniu, jądrze każdego mitu.

Na tych właśnie zasadach teatralna machina Siegoczyńskiego staje się lustrzanym odbiciem *Krainy Metaksy*, z której wszyscy jesteśmy i do której wszyscy dążymy, dlatego spektakl ten jest czymś znacznie więcej niż tylko intrygującą rozrywką. Jest z jednej strony esejem na temat człowieka, jego przeżyć oraz pamięci, z której po latach owe przeżycia wydobywa, z drugiej – próbą zrozumienia w jaki sposób owe ludzkie doświadczenia zamieniają się w sztukę (literatura, film czy teatr), w jaki sposób się ta magiczna transformacja odbywa. Tym, których nudzą tego typu rozważania, zapewniam, że na spektaklu Siegoczyńskiego nudzić się będą. Jest to bowiem spektakl o nas wszystkich i o każdym z osobna, dlatego będziecie w jego czasie na przemian śmiać się i płakać, bez wyjątku, choć w różnych momentach. Na szczęście w różnych momentach!

Tomasz Domagała

DOMAGAŁA*się*KULTURY.PL